Rok II. Październik 1910. Zeszyt X.

GRYF

PISMO DLA SPRAW KASZUBSKICH.

Wychodzi raz na miesiąc.

Abonament ćwierćroczny z przesyłką pod opaską mr. 1.65. — Abonament na poczcie mr. 1.50 kwartalnie.

Adres redakcyi i administracyi: „Gryf“ Kościerzyna — Berent Westpr.

Redaktor odpowiedzialny i naczelny: Dr. Majkowski w Kościerzynie.

Drukiem S. Buszczyńskiego w Toruniu.

Nakładem „Spółki Wydawniczej E. G. m. b. H.“, Kościerzyna.

Zwycięstwo hakatyzmu nad nauką.

Towarzystwo dla popierania niemczyzny na kresach wschodnich zrobiło z ruchu młodokaszubskiego najnowszego straszaka dla naiwnych i tych, którzy z inspirowanej przez hakatyzm prasy informują się o stosunkach panujących w dzielnicach polskich. Zaradzić tu niepodobna, gdyż liberalna prasa niemiecka powtarza, z zaufaniem rzadkiem w naszych sceptycznych czasach, wszelkie okólniki i krzyki trwogi „Ostena“, jak za panią matką pacierz. Mniejsza zresztą o to. Wiemy dobrze, że tak silnych gróbli sypać nie jesteśmy w stanie, ażeby zatamować powódź czernidła drukarskiego, rozlewającego po całych Niemczech fałszywe o nas wieści. Chodzi nam dziś o skonstatowanie, że użyto świeżo straszaka młodokaszubskiego dla niweczenia pracy naukowej niemców samych, skoro ta się okazała niewygodną dla celów hakatyzmu.

Taką niewygodną dla hakatystów pracę uprawiał dotychczas „Verein für kaschubische Volkskunde“ (Tow. dla ludoznawstwa kaszubskiego) w Kartuzach, którego przewodniczący, dr. Fryderyk Lorenz, znany jest z swych rzetelnych badań na polu językoznawstwa kaszubskiego. Dr. Lorenz jest niemcem. W zarządzie towarzystwa, oprócz Ks. prob. Kopaczewskiego z Goręczyna, żaden nie zasiadał Polak. Publikacye odbywały się po niemiecku w organie

towarzystwa, wychodzących w dowolnych ustępach czasu: *„Mitteilungen des Vereins für kaschubische Volkskunde“ (Doniesienia Tow. dla ludoznawstwa kaszubskiego).* Językiem towarzystwa był język niemiecki. Charakter publikacyi był czysto rzeczowy.

Powiedziałby Heine: Mein Liebchen, was willst du noch mehr? — Ale hakatyzm jest zasdrosną panną, która, jak siostra Kopciuszka z bajki, woli sobie piętę uciąć, niż przyznać, że i noga Kopciuszka może nosić bucik złoty. Więc też zaraz od zawiązania towarzystwa, aczkolwiek nieśmiałe, odzywały się głosy z obozu hakatystów, wyrażające obawę, że praca towarzystwa może posłużyć celom, nie zgadzającym się z celami hakatyzmu. W miarę jak praca towarzystwa postępowała, hałas potężniał. Zupełnie to naturalnem. Hakatyzm nie uznaje żadnej kultury u Słowian. Wszystko, co pod tym względem istnieje, jest podług niego dziełem Niemców. Jest to kardynalną zasadą hakatyzmu i fundamentem całej jego pracy, ponieważ zasada taka — pozornie przynajmniej — usprawiedliwia tendencye niszczycielskie wobec innych narodów. Bez takiej podstawy straciłby hakatyzm pod względem ideowym racyę bytu. Dla tego też broni jej zaciekle. Gdzie natrafia na obcą kulturę, tam zrzuca z siebie niebawem szatę europejczyka XX wieku i staje w podstawie średniowiecznego krzyżaka.

A właśnie wskutek pracy „Vereinu“ kartuskiego zaczął im się usuwać na Kaszubach grunt pod nogami. W czterech zeszytach, jakie dotychczas wyszły, opublikowano spory materyał, dowodzący niezbicie, że szczep kaszubski posiada swoją charakterystyczną, odrębną kulturę ludową, obcą niemieckiej a pokrewną kulturze innych szczepów polskich. Więc postanowiono w grupie zachodniopruskiej hakatystów wystąpić energicznie. Taranem miał być Gryf i związany z nim ruch młodokaszubski. Więc najprzód trzeba było ten ruch młodokaszubski należycie przyozdobić, aby go można użyć jako straszaka poczciwego. Stąd gazety liberalne niemieckie jęły za „Ostenem“ powtarzać niestworzone rzeczy. Banki ludowe, spółki spożywsze, towarzystwa czytelni ludowych — więc instytucye, istniejące dawno przed tem, niż kto słyszał coś o ruchu młodokaszubskim, — wpisano na konto ruchu młodokaszubskiego, ukazując go na tle malowniczego portu wojennego w Pucku z lasem masztów pomorsko-polskiej floty.

Chociaż waryactwo jednak w niem metoda! Albo jak Kaszuba by rzekł: Liwk to nie je, bukse to nie są, ale swygo szwernota to mo! —

Dość, że nastraszywszy w taki sposób opinię niemiecką, zrobiono krok dalszy. Otóż w tegorocznem sprawozdaniu grupy zachodnio-pruskiej uczyniono wycieczkę ostrą przeciw muzeum ludoznawczemu nauczyciela Gulgowskiego w Wdzydzach, twierdzeniem, że niema ono wartości ani pod względem naukowym, ani pod względem sztuki. Kierownictwu zaś „Vereinu“ zarzucono, że pracuje na korzyść ruchu młodokaszubskiego. Wywiązała się stąd ostra dosyć polemika na łamach pism niemieckich pomiędzy drem Lorenzem i hakatystami. Chociaż spór skończył się moralnem zwycięstwem zaczepionych, jednak chętniej bylibyśmy widzieli, gdyby ci byli rzekli z Nitschschem-Zaratustrą:

— Kiedym leżał we śnie, żarł baran nieco od wieńca bluszczowego na mej głowie, — żarł i powiedział: — Zaratustra nie jest już uczonym! —

Niestety nie postąpili sobie tak pracownicy „Vereinu“, — bo i niemogli. Wiedzieli dobrze hakatyści, że mają przez członków urzędników silny wpływ na „Verein“, a dr. Lorenz stał w roli ucznia czarnoksiężnika, który się nie mógł pozbyć duchów, jakich w postaci licznych nauczycieli, dwóch landratów i tyleż inspektorów szkolnych do Vereinu powołał. Więc niemogli — a kto wie, czy odważyli się chcieć, — przeszkodzić, że na ostatniem walnem zebraniu, odbytem dnia 26 września rb. w Kartuzach, hakatyzm całą siłą uderzył w naukową podstawę towarzystwa dla ludoznawstwa kaszubskiego i — dopiął swego. Wiedzieliśmy już dawniej o zamachu ułożonym z góry, i nie wątpiliśmy też wobec składu członków i wydziału towarzystwa o ostatecznym wyniku całej hecy. Dla tego też już w sierpniowym numerze Gryfa pisaliśmy, że uważamy dni tow. dla ludoznawstwa kaszubskiego jako towarzystwa naukowego za policzone. Uchwały z dnia 26 bm., opublikowane w dziennikach niemieckich, potwierdzają najzupełniej nasze przewidzenia. Chodzi mianowicie o dwie zasadnicze uchwały, z których pierwsza wykierowana przeciw „Gryfowi“. Treść jej taka, że na przyszłość artykuły pism politycznych (czytaj: Gryfa. Red.) mają być omawiane w „Mitteilungen“ towarzystwa tylko o tyle, o ile one wchodzą w zakres pracy towarzystwa. — To się zresztą i dotychczas działo, więc niemielibyśmy powodu do urazy ani do protestu. — Druga zaś uchwała, napozór bardzo niewinna, obala zasadniczo dotychczasową podstawę towarzystwa, którego pierwszy paragraf, określa cel dotąd, że zajmuje się ono ludoznawstwem **kaszubskiem**

w najszerszem znaczeniu (in weitestem Umfange). Uchwała nie zmienia tego paragrafu — broń Boże! — tylko daje mu interpretacyę (sic!) taką: Towarzystwo pojmuje przez ludoznawstwo kaszubskie w najszerszem znaczeniu nie samo tylko ludoznawstwo Kaszubów, ale ludoznawstwo wszystkich czasów i ludów, (Niemców, Polaków, Holandczyków, Skandynawów) na Kaszubach.

Proszę! — Więc niema już właściwych Kaszubów, ale są Niemcy, Polacy, Holandczycy, Skandynawowie. Z publikacyi towarzystwa w „Mitteilungen" będzie można sobie wybrać, co kto woli. Charakterystyczna chata — to skandynawskie, przyrząd rólniczy — to holenderskie, balada ludowa — no, niemiecka, dla polaków zostaje chyba charakterystyczna dla wszystkich osad rólniczych — nietylko polskich i kaszubskich — kupa mierzwy na podwórzu. Nie będzie już styl ludowy kaszubski, nie będzie poezya ludowa kaszubska, ale bigos niemiecko-polsko-holendersko-skandynawski, z którego nawet różdżka czarodziejska karła nosacza nie potrafi wywabić pierwiastków kaszubskich.

Uczono nas, że nauka dąży do coraz ściślejszych określeń przedmiotu. Tu zrobiono krok wstecz, tu pojęcie Kaszuba i kaszubski rozlano w sosie mieszanki narodów, ażeby je przysposobić dla podniebienia hakatystów. Wszak innego sensu tu kapitalna interpretacya mieć nie może.

Ubolewamy tylko jak najbardziej, że slawista tej miary jak dr. Lorenz, dał swe nazwisko pod taką robotę. Zdziwilibyśmy się, ale nic przeciwko temu byśmy nie mieli, gdyby zebranie było odważnie i stanowczo zmieniło ustawę w sensie, że odtąd już nie zajmuje się ludoznawstwem kaszubskiem, ale ludoznawstwem na ziemi kaszubskiej, gdyby więc przyjęło nazwę „für Volkskunde in der Kaschubei" albo „in Westpreussen". W takim razie każdy wiedziałby się czego trzymać, i zasadzie naukowej stało by się zadość. Żywo atoli protestować musimy, kiedy, z ignorowaniem naszej szczepowości charakterystycznej, pod naszym nazwiskiem ma iść ragou niemiecko-polsko-holendersko-skandynawskie, i nie pozwolimy żadną miarą, ażeby świat naukowy bez najzaciętszej obrony z strony naszej miał swoje dotychczasowe pojęcie o Kaszubach w duchu owej „interpretacyi" zmienić.

Jeżeli ci, którzy przez przyjęcie owej mącącej jasne pojęcie „interpretacyi" legli na brzuchach przed wszechwładnym hakatyzmem,

zastawią się tem, że Kaszuba i kaszubski używać chcą w sensie gieograficznym, to będzie to tylko niezręczny wybieg. Pojęcie gieograficzne Kaszub bowiem naukowo wcale nie ustalone i trudno je określić. Tak samo jak w historyj nazwa ziemi kaszubskiej była chwiejną, tak i dziś wścisłym znaczeniu ziemi kaszubskiej niema. Więc i tu Tow. dla ludoznawstwa kaszubskiego zamiast kroku naprzód zrobiło krok wstecz, opuszczając zupełnie jasną i pewną podstawę etnograficzną Kaszub i Kaszubów.

Cel „interpretacyi“ jest zresztą zupełnie jasnym, jeżeli się zestawi z uchwałą to, o czem swego czasu pisały „Grenzboten“, wspominając o jakichś tam niemieckich Kaszubach, — i książkę pastora Hardera z Kościerzyny, który pod nagłówkiem „Kaschuben“ opisywał życie urzędników niemieckich, z wszystkich stron świata niemieckiego spędzonych.

Powstaje nam więc nowy wróg w „towarzystwie dla ludoznawstwa kaszubskiego“. Jeden więcej. A chociaż pod naszą firmą będzie on przemycywał holendersko-niemiecko-skandynawskie towary, mamy nadzieję, że się ludzie poważni i naukowi na takiej robocie poznają. Jeżeli kierownicy towarzystwa chcieli mu byt uratować przez takie ustępstwo, to widać są lichymi politykami. Hakatyzm bowiem — o tem powinni kierownicy towarzystwa wiedzieć — nie ukontentuje się dotychczasową zdobyczą, ale będzie parł dalej i — z nimi czy przeciw nim — z subwencyą rządową utworzy z towarzystwa instytucyę, służącą celom hakatystycznym. Będą wtenczas może żałowali ci, którzy dla miłej zgody pierwsze uczynili ustępstwo.

My młodokaszubi nie podążyliśmy na owe posiedzenie, zasadnicze w rozwoju towarzystwa. Na porządku bowiem stała „odprawa przeciw insynuacyom rozsiewanym przeciw towarzystwu przez zarząd głowny grupy zach.-pruskiej towarzystwa dla kresów wschodnich“. Niechcieliśmy kierownictwu utrudnić obrony. Lecz na nic się zdało. — Charakterystycznem też jest, że nikt ze świata naukowego niemieckiego nie dał się użyć do ataku w duchu hakatystów, więc wysłano dwóch „uczonych“ w postaci pewnego wojta i pewnego nauczyciela z powiatu kościerskiego, obu z instrukcyą ścisłą od grupy kościerskiej hakatystów. Dostał Gryf swoje, dostał i jego główny redaktor, co nas zresztą mało obchodzi. Dostał atoli i niemiecki nauczyciel Gulgowski za to, że u ludu kaszubskiego w Wdzydzach przez budzenie przemysłu ludowego pomaga wieśniakom do dobrobytu. Powinien wiedzieć, że jako nauczycielowi pruskiemu

tego mu czynić nie wolno. Niech Kaszubi będą głupi i biedni, byle wojt i nauczyciel byli syci i mądrzy!

Zaiste, dziwne owoce rodzi hakatyzm. Wątpimy bardzo, czyby się znalazł Polak, chociaż taki, który po zburzeniu swego ogniska przez żandarma, strawę swą gotuje razem z bydlęcą, a sypia na strychu, — któryby takie „chrześciańskie“ głosił zasady.

My w niemcu, chociaż z nim polityczną staczamy — i bardzo nierówną — walkę, nie przestaniemy widzieć człowieka, który ma prawo używać darów Bożych, tak jak i my.

Tylko na takiej zasadzie może postęp ogólny ludzkości nastąpić. Świeże występy hakatyzmu tak wobec towarzystwa dla ludoznawstwa kaszubskiego, jako i wobec niektórych członków tegoż, dowodzą, że zwyciężyć go jest zadaniem nietylko naszem ale i całej dążącej do wyżyn etycznego rozwoju ludzkości.

Bajki kaszubskie.

Jak jednygo zekutnika djobeł porwoł.

Jednygo razu jechoł zekutnik drogą do wse. Na drodze on spotkoł małygo knopa, co nade drogą sedzoł i barzo płakoł, a beł tak obdarty, że jaż beło strach patrzec na niego i jak to ludze mówią, że be go sę ani rek nie jął; a po prowdze mówiąc — na pół nadzi.

Jak ten zekutnik go uzdrzoł, tede on do tego knopa rzek:

— Co te tak płaczesz i co tobie je? —

A ten mu odpowiedzoł:

— Proszę niech pon mnie nie pyto, co mnie je, i o co jo płaczę, leno mnie ze sobą na wóz weznie. —

Ten zekutnik ale rzek znowu:

— Ale o co te płaczesz, i czemu te tak jes obdarty? — Cze tobie sę chce jesc?

A ten knop odrzek:

— Proszę niech pon sę o to nie pyto, jeno mnie ze sobą na wóz zabierze. —

Dokąd jo ale mom cebie zawiesc? —

A ten dzecok znowu odrzek:

— To wszestko jedno, jeno niech mnie pon ze sobą weznie? —

— No wlezże tede! — rzek ten zekutnik do niego.

Jak tede ten knop sę na woz wegramoleł, tede oni jecheli dalij. Ale jak oni już beli kawał drodzi ujechany, tede ten knop rzek:

— Jo jem luceper z piekła! —

— A co te tu na swiece robisz? — odrzek ten przestraszony zekutnik. — Po co te tu przeszed, ciede te jes z piekła? —

A ten knop odrzek;

— Jo żem przeszed po ludzy! — Ludze to wej czasem tak mówią jedny na drudzich: a żebe cę djobli wzęli! — i tych jo bierzę, ciede jo ich wząsc mom. —

Tak jak oni jecheli dalij, tej oni przejecheli do wse, a tam gonieła kobieta za knopem, co nie chcoł do szkołe jisc i ona chcała go chwecec i do szkołe zaprowadzec. Ale ten knop beł chwatszy i on ucekoł wkoło wse a ta kobieta go nijak nagonic nie mogła. Tak ona sę rozgorzeła i zaklęna:

— Żebe cebie choc djabli wzęli. —

— Czełte! — rzek ten zekutnik, ta kobieta wołała na tego knopa, że go mnieli djobli wząsc; tego to możesz tero brac. —

A ten djobeł odpowiedzoł:

— To ona jeno tak mówi, ale tak nie mesli; żebem jo chcoł go zabrac, tobe ona go nie dała.

Tak jak oni przejecheli dalij we wies, tej uzdrzała tego zekutnika jedna inno kobieta. Ta ale żewo biegła do innyj, jij to powiedziec, że we wse je zekutnik! Tak ta zatrzasła żewo dzwierze i rzekła:

— A, żebe go djobeł porwoł! —

Tak tej ten luceper żewo rzek:

— Wej ta kobieta, ta to mówieła po prowdze i cebie jo też weznę! —

To rzekł i polecoł z nim do piekła.

To beł pewnie ale barzo niegodzywy zekutnik.

(Rotębark) *S.*

Jak to jednemu wędrowczykowi poszło.

Szed sobie wędrowczyk drogą bez las i w tym lese uzdrzoł konia uwiązanygo do buka, ale go ostawieł i szed dalij. Tak on przeszed do jednyj wse, a w tyj wse beł duży rozruch i lamańt.

Tej on sę pytoł, co sę stało, a ty ludze jemu odpowiedzeli, że w tyj noce złodzeje we wse konia jednemu gburowi ukredli.

Tak ten wędrowczyk jim rzek:

— To nie będze tak zle, tego konia jo bem wama weszukoł, ale cobe wa mnie za to deli? —

Tak oni mu objeceli barzo duży podarek.

A ty złodzeje, co tego konia ukredli nimogli dalij uńdz bo to już beło reno i oni sę bojeli z nim za dnia isc, żebe ich chto beł prze nim chweceł i go przewiązeli do tego buka, gdze ten wędrowczyk go widzoł i poszli.

Ten wędrowczyk ale wząn taką dużą książkę, chtorną on ze sobą noseł i choc w tyj książce nic nie stojało, zaczął w nię patrzec i patrzec, jakbe tam w nij cuda stojałe i przewrocoł karte odtąd dotąd a za każdą kartą mruczoł: — Stoji kuka wedle buka! hii... hęęę...

A ty ludze sę dzewoweli temu, bo oni w tyj książce nic nie widzeli. Jaż nareszce ten wędrowczyk rzek głosno:

— Jó! tu nic nie stoi jak: stoi kuka wedle buka hii... hęęę..., to ten koń muszy bec gdze do buka przewiązany. Jeno idzta do lasa tą drogą oboczec, to on tam będze. —

Ty ludze go usłucheli i tego konia nalezli i go jeszcze lepij obdaroweli, jak jemu przedtym obieceli.

Ten wędrowczyk szed tede dalij i przeszed na królewsci dwór. A tyj królowyj beł prawie pierscyń zdzinięty, i ten król temu barzo wielgą nagrodę obiecywoł, cobe ten pierscyń naloz. Ale nikt tego szczęcu nie mnioł i go nimog nalesc.

Tak tede ten król sę dowiedzoł o tem wędrowczyku, że on ludzom tego konia weszukoł.

Tej on go doł do sebie zawołac, powiedzoł jemu, że królowo zgubieła pierscyń a kureszce rzek:

— Jożem czuł, że te mosz bec barzo mądry i jo tobie nakozuję ten pierscyń weszukac. Jeźli te go nalezesz, tede na cebie czeko dużo nogroda, a jeźli nie, tej to będze kosztowac twoje gardło. —

Tej ten chłop dostoł duży strach, ale pomesloł sobie troszkę a potym rzek:

— Do tego jo muszę miec trze dni czasu! —

— Niech i tak będze, odrzek ten król, ale przez te trze dni et będzesz u mnie mnieszkac, dostaniesz tu jesc i pic, swiatło

i wszelką wygodę, jaką jeno sobie życzec będzesz, a po trzech dniach, jeźli te ten pierscyń nalezesz, jo cebie dobrze wenagrodzę, ale żeli nie, tede te wiesz, co sę swięcy. —

I jemu doł zaro trzech sługów, co go obsługiwac mnieli.

Tak ten wędrowczyk doł sę zaprowadzec do swojij izbe i tam dostoł jesc i pic jak ten król mu mówieł. I on sobie żeł jak stary, jeno mu z głowe nie wechodzeło, co ten król jemu nakozoł, a on nie wierzeł, żebe on ten pierscyń naloz i beł sobie pewny, że to już jego ostatny dnie, co on na tym swiece jeszcze przepędzy i rodbe sę beł z tego królewscigo pałacu wedostoł, ale to nie szło.

To jedzeni mu jednak przenoseli ty słudze po koleji, a jak oni z tem jedzeniem przeszli, tede on sobie wjedno cos pod nosem mruczoł i sobie przetym chodzeł po jizbie, jakbe on jaci pocerze odmowieł. A ty słudze mnieli ten pierscyń tyj krolowi ukradły i oni sę bojeli, że ten wędrowczyk be ich mog wedac, bo oni o tym czuli, że to mnioł bec jacis słowny czarownik.

Ten wędrowczyk jednak o tym nie wiedzoł! Jak ale przeszed wieczór tego pierszygo dnia i ten pierszy sługa mu przenios wieczerzą, tede on do sebie westchnął:

— Pierszygo już zderli, a tu jeszcze nic! —

Tak ten sługa to powiedzoł swoim kamrotom. A na drudzi dzeń noseł temu chłopu ten drudzi sługa jesc, a ciej on mu wieczerzą zanios, tede on znowu do sebie rzek:

— Drudzigo już zderli, a tu jeszcze nic! Jutro przyńdze kolej na trzecigo. —

Ale że to tak jak przysłowi mówi: Na złodzeju czopka gorze, tak i z tymi sługami.

Ten drudzi sługa to znowu powiedzoł swoim wspólnikom. Tede oni dosteli strach. Bo oni mesleli, że on już wiedzoł o ich złodzejstwie i ciej on mówił: Jednygo już zderli, tej oni mesleli, że to mniało znaczec, że będą jednygo derli, a ciej on mówił: Drudziego zderli, tej oni mesleli że i tego drudzigo a ciej on o tym trzecym wspomnioł, tej ten trzecy mesloł, że to mniało bec na niego wskozany.

Tak oni zaczęli nad tym radzec, jakbe sę uratowac i ten nopierszy radzeł, żebe jemu wszestko powiedzec, ten pierscyń jemu oddac i go prosec, żebe on ich nie wedoł. Na to sę w końcu ty dwaji też zgodzeli, ale tede ten trzecy rzek:

— Żeli on ale nas tak cze tak wedo? Oboczyma lepij nojpierw, co on jutro powie. —

I oni nie poszli mu o tym powiedziec.

W ten trzecy dzień ale przeszła kolej na tego trzecygo. Na tym tej już zaro z rena petlowałe bukse, ciej on do tego chłopa z tym jedzeniem szed, a ciej ten znowu prze wieczerzy rzek:

— Już trzecigo zderli a tu jeszcze nic! —

Tej on dostoł taci strach, że on temu wędrowczykowi wszestko wedoł i go proseł, żebe on o tym nie powiedzoł królowi, on sę chcoł jemu za to odwdzęczec.

Jak ten chłop to uczuł, tede on sę uceszeł. Ale on nie doł po sobie nic poznac, le po chwili rzek:

— Jobem waju nie rod wedoł, ale jak me to zrobima? —

Potym ale jeszcze chwilę pomesloł i wreszce mówieł do tego słudzi:

— Dobrze! — Jo wiem sposób, ale muszyta mnie przerzec, że to, co jo wama nakożę wepełnita i to napewno. —

A ten sługa odrzek, że oni wszestko spełnią, jeno żebe on jich nie wedoł.

Tak ten wędrowczyk rzek:

— Muszyta ten pierscyń dac temu nojlepszemu kurczokowi w żercy, cobe on go połknął. A jak ten król będze mnie sę pytoł, gdze ten pierscyń je, tej jo rzekę, że go ten nojlepszy kurczok mo; I w taci sposób wa sę uratujeta od smnierce. —

Ten sługa mu to wiernie przeobiecoł i poszed do swoich kamrotów jim to powiedzec.

Jak tede na czworty dzeń ten król sę tego chłopa pytoł, gdze ten pierscyń je, tej ten odpowiedzoł:

— Ten nojlepszy kurczok go zjod. — Ta królowa szła bez ogród i przetym ten pierscyń jij spod z ręci, a ten kuron go uzdrzoł i połk. —

Tak ten król doł tego kurona zabic, a jak on beł zabity i weprawiony, tej on mnioł naprowdę w żołądku ten pierscyń.

Tej ten król uznoł, że ten węder beł barzo mądrym człowieciem i przeznaczeł jemu ze swojij kase tyle piniędzy, ile on potrzebowoł na cały żecy, chocbe on nojdłuży żeł i nic nie robieł. Ty słudze, temu królowi już nic więcyj nie ukredli. Ten węder ale przez te trze dni tyle strachu weżeł, że on tę książkę zaro spoleł, bo on sę bojoł, żebe on mog znowu przyńsc w taci niemnieły po-

łożeni i rzek, że ju więcyj żodnych zadzinionych rzeczy szukac nie będze. A tej on poszed w swiat, że go już nikt nie widzoł więcyj.

(Rotębark) *S.*

Pieśni kaszubskie (Franłówci).

Hej! hura, hura!

Hej! hura, hura!
Cygany jadą;
Wiozą z sobą cyganeczkę
Jak kwiat różaną.

Hej! hura, hura!
Cyganko moja!
Powiedzże mi cyganeczko,
Czy będziesz moja?

— Jak mam powiedzieć,
Czy chcę twoją być? —
Wszak ja młoda cyganeczka
Nie umiem robić.

Jak mam powiedzieć,
Czy chcę twoją być,
Wszak ja młoda jak jagoda
Lubię długo spać. —

A dębowa wić
Nauczy robić;
A brzozowy pomiotełek
Rano obudzić.

— Jeszcze nie masz nic,
Obiecujesz bić.
A ja twoją nie zostanę,
Bo chcę długo żyć.

Poszedł do sieni,
Ręce w kieszeni, —
Poczekajże cyganeczko,
Aż do jesieni.

— A co to za pan,
Co go czekać mam;
Wszystkie jego majętności
Podarty żupan! —

A coż za pani,
Co to mną gardzi;
Wszystkie to jej majętności
Wianek myrciany.

Chociaż myrciany,
Byle z kwiatami;
Nie przepłacisz ty hultaju,
Choć tysiącami.

(Rotębark). Pod. *Fr. Sędzicki.*

W niedzielę rano, gdy słońce wschodzi.*)

W niedzielę rano, gdy słońce wschodzi,
Już mój kochanek z domu wychodzi.

— Gdzie ty powędrujesz, mój kochaneczku. —
Wyprowadzę ciebie z tego domeczku. —

*) Niniejszą piosenkę słyszałem też jako wstęp do piosenki podanej w nrze. 8 „Gryfa“ (patrz str. 249) p. n. *O co dziewczę płaczesz?*

Wyprowadziła go ku Bożej męce,
I tam so podali swe prawe ręce.

Prawe ręce so oba podali:
Ach! bodaj to, bodaj, kochania nie znali!

(Rotębark). Pod. *Fr. Sędzicki.*

Dwa serduszka, cztery oczki.

Dwa serduszka, cztery oczki,
Co płakały dzień i nocki.

Oczki, oczki, co płaczecie,
Że się dostać nie możecie!

Oczki, oczki, chodźcie do dom,
Bo się z wami nie nagodom.

Nie nagodom, nie nastoję,
Bo się ojca, matki boję.

Oczki, oczki, się nie bójcie,
Ludzkiej gadki nie słuchajcie. —

(Rotębark). Pod. *Fr. Sędzicki.*

Stan małżeński jest to ciężki.

Młyński kamień jest to ciężki,
Stan małżeński jeszcze cięższy.

Młyński kamień się obraca,
Stan małżeński się nie wraca.

Młyński kamień wodą płynie,
Stan małżeński nie zaginie.

(Rotębark). Pod. *Fr. Sędzicki.*

W Olszenie.

W olszynie, w olszynie
Zdzinęłe moje zgrzebce;
Kto be moje zgrzebce naloz
Temu dałabem gębe zaroz.

Zdzinięłe mnie wołe,
Zdzinęłe mnie oba

Na ne stronie pólka.

Na ne stronie pólka
Stoi secho chojka,
Inno mnie sę nie podobo
Jak szołtesowa córka.

Ale nie wiem, co z nij będze,
Bo kądzeli nie uprzędze;

Żdzinęło mnie moje dzewczę,
Co go nima doma,

Jeden z nim tańcuje,
Drudzi je żałuje,
Trzecy sedzy za stolikę
Ręce załamuje.

(Luzino). Pod. *A. Miotk.*

Izbe nie wemiece
Chleba nie upiecze.

Jednę kuklę upiekła,
To z nia sw... ucekła.
Hola! sw... oddawej kuklę, stoj!
Bo kawalerzy za nią żdzą.

(Puck). Pod. *A. Miotk.*

Cotka.

Nie miała cotka kłopota,
Nabeła so prosę.
Cotka neko *) prosątko do błotka,
Prosątko zaczęło skakac
A cotka zaczęła na nie płakac.

(Puck). Pod. *A. Miotk.*

Zaszło słińce za las.

Zaszło słińce za las
A jo so pilcze **) napas.
Ale do dom nie ponekom
Bo sę dzeusów ***) nie obnekom ****).

(Puck). Pod. *A. Miotk.*

Judica Domine nocentes me.

OBRAZEK Z KASZUB.

Napisał SWIĘTOPEŁK SUDOMSKI.

Sąsiadowali z sobą Mateusz Kłopotk i Jan Lipiński. Obaj byli gburami, zasiedziałymi na swych zagonach od dawnych czasów. Kłopotk potrafił ród swój wywodzić aż od jakiegoś milesa z czasów świetnej pamięci księcia kaszubskiego Świętopełka, a w pieczątce miał rybę wśród rogów bawolich. Lipiński zaś, zwany powszechnie

*) *nekac* = pędzić.
**) *pilcze* = gąski.
***) *dzeusów* (mów: *dzełsów*) = dziewcząt.
****) *nie obnekom* = nie opędzę.

swym przydomkiem Wnuk, także był szlachcicem i także jako świętość przechowywał pieczątkę z dziewięcioma gwiazdami w tarczy, pod któremi widniał księżyc na nowiu.

I co do obszaru swej ziemi niebardzo się różnili sąsiedzi. Kłopotk posiadał około pięć set mórg ziemi, jak ją Pan Bóg na Kaszubach nadarza, dobrej i złej, w tem blisko cztery sta mórg boru i wody. Wnuk zaś miał więcej ugoru, a znacznie mniej łąk od swego sąsiada. Posiadłości ich rozgraniczała rzeka Wda, płynąca het z bytowskiej ziemi po przez krainę kaszubską i bory tucholskie, aż do Świecia, jednej z dawnych stolic książąt kaszubskich, — aby tam wody swoje wylać do łona matki Wisły.

Dworek stary, w drzewie budowany, słomą kryty, z szerokim wystawkiem w froncie, stojący na niewielkiem wzgórzu, skąd powoli spadała ziemia do rzeki, był siedzibą Wnuka. Mógł on stąd patrzyć na połyskujące w słonecznem świetle fale Wdy i cieszyć się, kiedy przed grzmotem wyskakiwały rybki w górę, zapowiadając obfity łup w zastawionych w sitowiu więciorkach. Mógł ale i po drugiej stronie ujrzeć na tle ciemnego boru, który dochodził o kilka set kroków do rzeki, nowy, w czerwoną cegłę budowany dom swego sąsiada, który w promieniach zachodzącego słońca gorzał jak czerwona pochodnia.

Wnuk atoli, skoro wzrok jego padł hen za rzekę, aż na siadybę swego sąsiada, nie patrzał miłem okiem i nie podziwiał kontrastu czerwonych murów na tle boru, ale oko jego siwe nabierało wyrazu nienawiści i wstrętu, a twarz jego surowa, wygolona, w której potężny sterczał orli nos, stała się jak z żelaza wykuta. Zdejmował tedy kapuzę, którą i w izbie lubił nosić i zdejmował tylko przy pożywaniu darów Bożych, i przegarnął szeroką, żylastą dłonią siwy łeb, wyprostował się w całej długości, tak że sięgał głową zczerniałych belek posowy, i mruczał:

— Choba be Bóg sprawiedlewy mnie skoroł, ciejbe on mnioł wegrac sprawę. —

Ale w duszy zaczynał wątpić o wyniku „sprawy", gdyż najoczywiściej Pan Bóg Kłopotkowi błogosławił, jemu zaś ujmował. Nietylko bowiem, że sąsiad był szczęśliwszym od niego w życiu familijnem, bo wychował był dwóch synów i trzy córki, z których dwie już powydawał za mąż, — ale i grosza gotowego musiał posiadać, kiedy na miejsce starego drewnianego domu wystawił sobie nowy, w cegłę, z pięterkiem. Wnuk zaś stał jak pień samotny na

świecie. Gospodarzyła mu jakaś stara krewniaczka, żona zaś odumarła go przed laty, obdarzywszy go dwojgiem dzieci, obu chłopakami. Jeden, młodszy, kiedy liczył lat dwanaście, wpadł do rzeki, kiedy z roztopami wiosennymi chciał na krach jeździć, i znaleziono go nieżywego w jeziorze, w którem o kilometr w dół rzeka się rozpływała. Jezioro było własnością Kłopotka, sąsiada. A chociaż ten niebył przecież winien śmierci dziecka, jednak Wnuk rozżalił się nań wtenczas jeszcze bardziej.

Drugi syn, kiedy wrócił od wojska, zakochał się w pięknej dziewczynie, córce chałupnika czyli chłopa. Żadne nie pomogły perswazye starego Wnuka, który takiej synowej, nie podług stanu wybranej, znać nie chciał. Syn wziął się i poszedł do Westfalii w kopalnie, a swoją ukochaną zabrał z sobą i z nią wziął ślub.

Od tego czasu stary Wnuk o synie nie wspominał i gospodarzył sam i walczył o codzienny chleb.

A była to walka ciężka. Nie miał on jak jego szczęśliwy sąsiad obok dwóch familii chłopskich żadnych swojskich rąk do pracy. Dla tego też nie starczyło mu na pobudowanie nowego domu, jak szczęśliwemu sąsiadowi, u którego syny i córki obchodziły koło gospodarstwa.

Najgorszą zaś rzeczą była owa sprawa z sąsiadem. Miał z nim od lat spór o granicę. Na Kaszubach powstają takie graniczne procesy często, chociaż rzetelna miedza i obrosłe trawą kopce rozdzielają sąsiadów. Jak mogło się tu obejść bez sporu, kiedy granicę na całej długości tworzyła rzeka ruchoma, złobiąca sobie podług wyższych jakiś praw swoje łoże? Otóż w dół rzeki, ledwo sto kroków poniżej siedziby Wnuka, dzieliła się woda na dwa ramiona, które połączywszy się poniżej, obejmowały rodzaj wyspy — łąki tak wielkiej, że pierwsze sianożęcie dostarczyło około dziesięciu fur siana. Łąkę tę dzierżył już ojciec Wnuka, przynosiła ona atoli mało co, gdyż była zarosła brzoziną i dzikim krzewem. Obecny właściciel ją dopiero wyczyścił, piasku nawiózł i ochędożył. Cóż kiedy po pierwszem żniwie zgłosił się sąsiad, twierdząc, że łąka jest jego.

Wnuk byłby niemal z skóry wyskoczył, kiedy usłyszał o tej pretensyi sąsiada. Naturalnie ani słuchać chciał o ustąpieniu tego kawałka ziemi, w który tyle mozołu i potu włożył. W jego nawskroś rzetelnym umyśle pomieścić się z razu niemogło, aby była taka moc, która jemu potrafi wydrzeć z rąk to, co dzierżył już po

ojcach. Ale wnet go sąsiad inaczej przekonał. Przyszło pismo od adwokata z miasta, a Wnuk z swej strony obronę także musiał adwokatowi poruczyć. Były niepotrzebne wyjazdy do miasta, zadatki na koszta sądowe i adwokackie. Wszystko to przyszło bardzo ciężko Wnukowi, któremu żal było odrywać się od pracy, i którego worek tak nie sypał jak u szczęśliwego sąsiada. Zjechał nareszcie i sąd z sędziami, sekretarzami i adwokatami, przyszedł miernik i stawił swe pstre słupki. Na nic się zdało. Kiedy bo w dokumentach zapisowych, które sąsiedzi posiadali jeszcze z 18 wieku, nie stało nic o owych dwóch ramionach rzeki, tylko prosta wzmianka, że granicę stanowi rzeka.

Możeby i zresztą Kłopotk niebył od tego i zgodził się z sąsiadem, ale rzecz już była powoli za daleko doszła. Do tego punktu, gdzie Kaszuba się zatnie i od samego świętego Patrona w niebie niedałby się zawrócić z drogi walki, a choćby ostatnia krowa i ostatnie koło u woza miało pojść na koszta procesu. Mili sąsiedzi ze wsi czynili także co swego, aby spór rozniecić do białości. I tak proces szedł.

A ponieważ Kłopotk lepiej smarował swój wóz procesowy, ten i szedł lepiej, podczas gdy wóz Wnuka coraz utykał w błocie. Koniec końcem w pierwszej instancyi wygrał Kłopotk.

Wnuk się wziął za głowę, tak niepojętym mu się wyrok wydawał. Gdyby atoli był kto w tej chwili przyszedł i powiedział Wnukowi, że idąc do dalszych instancyi, przeprawuje cały majątek i pojdzie na dziada, ten by bez chwili namysłu był wolał z losem takim się zgodzić, niż odstąpić, co swoje.

Więc proces szedł dalej, przez lata. A Wnuk coraz więcej roli pozostawiał nieobrobionej na ugór. Kiedy sobie w niedzielę wyszedł latem oglądać zboże na polu, a ujrzał stadko owiec, pasące się na szerokich ugorach, rzekł sobie nieraz:

— Jaci beste, zemnio, tu rodzeła żetko, żebe le bełe ręce, co ce obrobią! —

I przypominał mu się syn jedyny, wbrew jego woli ożeniony z chłopianką, który zamiast orać rolę ojcowską i być sobie panem, gdzieś obcym wysługiwa się w kopalniach, głęboko pod ziemią, gdzie ani słońce nie świeci, ani las nie szumi, ani skowronek nie śpiewa.

Raz kiedy po obiedzie wyszedł sobie nad rzekę, i usiadł niedaleko brzegu naprzeciw tej nieszczęśliwej łąki, o którą szedł

proces, ujrzał chłopaka, który przez ławy *) przechodził na ową łąkę z dziecinnym batem w ręku i kozikiem, którym zabierał się do krzaka wierzbinowego. Po chwili trzymał w ręku gałąź na palec grubą, z którą usiadł na trawie, aby oczywiście sobie wystrugać piszczałkę.

Wnukiem aż podrzuciło, tak mu przypomniał chłopak własnego syna, którego kiedyś przed laty wyłowił martwego z Kłopotkowego jeziora. Przez chwilę nie zdolen był słowa wymówić, aż po pewnym czasie, patrząc ciągle na chłopca, odezwał się:

— A cuż te tam robisz, chłopku? —

Chłopak dopiero teraz zauważył mówiącego, ale nie ruszając się z miejsca, odrzekł:

— Jo so robię piszczołkę z wierzbine! —

— A wiesz te chłopku, że to je grzechem, bez pozwoleniu brac cuzą włosnosc? —

— To nie je cuzo, to je nasza! —

— A czyj te jes? — pytoł Wnuk.

— A Kłopotkoc! —

Wnuk nie odrzekł nic, on, taki zazdrosny o swoją własność. Podniósł się i poszedł do domu, szepcąc:

— To i ju dzece jego uwożają łąkę za swoję. — No, ale jesz Sprawiedlewy rządzy w niebie! —

Tak się pocieszając, szedł do domu.

Przyszedłszy, zastał u siebie organistę z poblizkiej wsi, który niby przyszedł na pogawędkę. Wnuk się ucieszył, bo rad był, mając z kim pogawędzić lub zagrać w karty w popołudniową niedzielę. Wydobył z szelbiąga butelczynę z wódką, przepił do gościa i zaczął z ceremonialnem:

— A cuż we, panie organisto, przeniesece nowygo? —

Organista odchrząknął i rzekł:

— Co nowygo — niedobrygo, mówią ludze. We bodej ju proces o nę łąkę przegrele w ostatnyj instancyi! —

Wnukowi się ciepło zrobiło:

— To nie je możno! —

— Żol mnie waju, sąsedze! — odparł organista. — Ale wiera to ju prowda prowdzewo. Bo adwokat gdańsci, chteren Kłopotkowi

---

*) rodzaj prymytywnego mostu, składające się rękojeści i kilka żerdzi położonych na pale, które wbito w grunt rzeki.

prawo prowadzy, depeszowoł do jego zęca, co w miesce je kupcem. A ten chyże wesłoł knopa na kole do swygo starka. Cało wies ju o tym wie. —

Wnuk zbladł jak sciana, podniósł się i zawołał:

— Choba Bóg Sprawiedlewy nie rządzy swiatem! —

Ale organista, spokojnie zażywszy tabaki, odrzekł:

— Nie bluznijce, sąsedze, bo waju Pan Bóg może skarac jesz barżyj! Wepijce le razem ze mną i dejce so rzec: Dwojako je sprawiedliwosc: Bosko i ludzko. Prożno be człowiek nędzny chcoł doznac dróg, chternymi sprawiedliwosc Bosko prowadzy ludzy i jich sprawe do dobrygo kuńca. Ludzko zos sprawiedliwosc, to robota slepygo, co chce rozsukac pomachtany kłąbk nitk. Pomachce jesz barżyj, porwie na perzene i rzecze, że rozsukoł kłąbk. Tako je sprawiedliwosc ludzko. —

Wnuk nie wypił podsuniętego mu kieliszka, i patrzał nieruchomo przed siebie, milcząc ponuro. Organista zaś ciągnął:

— Podług mygo rozumu, we moce prowdę. Waju je łąka, i waszą procą ona wedaje plon. Tak mówią też ludze we wse. Cuż to ale pomoże, ciej sąd ję przeznął sąsadowi. Na to nima rade! —

Wnuk wciąż milczał.

Organista zaś, widząc, że z pogawędki nic nie będzie, a z małej gry też nic, po krótkim czasie pożegnał Wnuka, i szedł.

Niedługo trwało, a pismo z pieczęcią sądową przyniosło Wnukowi potwierdzenie nowiny organistowskiej.

Było to cios, jak uderzenie obuchem. Do ostatniej bowiem chwili niemógł twardy Pomorzanin uwierzyć, aby taka krzywda mogła być powagą sądową przypieczętowana. Nie złamał go atoli cios, bo był to dąb twardy, który się mógł zatrząść od uderzenia obuchu, ale nie złamał się ani nie zgiął. Tylko coś w wnętrzu w nim się truło, tak że stał się on, przez tyle nieszczęść doświadczony, jeszcze bardziej ponurym i małomównym. Nastała żniwna praca, przy której pracować musiał za dwóch. A pracował, on, blisko siedemdziesięcioletni, z ponurą zapalczywością, tak, że wieczorem nie było na nim suchej nitki. Ale zdarzało się jemu, który łączył siłę młodzieńczą z doświadczeniem starości, że powróz pękł kiedy wiązał snopy, ze trzonek wideł się złamał, gdy podawał snopy na wóz, że postronki pękały koniom, którym zbyt wielki ciężar na wóz nakładał.

Ludzie jego, dziwiąc się, szeptali:

— To ta jankorka przez niego robi! —

Aż kiedy i kartofle już były w sklepach, po św. Michale, zjawiają się mierniki, ażeby wymierzyć i sypać kopce wedle rzeki.

— Aha, — pomyślał Wnuk. — To oni mu tę łąkę przewłoszczac będą! —

Chwilę popatrzył na krzątających się ludzi, potem powoli zawrócił do domu.

W rogu izby wisiała stała fuzya, z którą za młodych lat lubił wychodzić na sarny i zające. Była to strzelba starej konstrukcyi, do ładowania z przodku. Przyzwyczaił był się Wnuk z młodu do niej, a później, kiedy objął gospodarstwo, i nieszczęście za nieszczęściem nań zaczęło spadać, nie miał czasu ni ochoty do polowania. Czasem tylko na wrony, psujące dach słomiany, z niej wystrzelił.

Zdjął ją teraz i zaczął ładować. Nasypał prochu, przybił, potem wsypał w lufę grubego śrutu, jak na sarny, i znowu przybił. Potem rzekł do siebie:

— Czyjas smnierc tero będze, bo dobrą wolą jo so nie pozwolę zabrac swojij zemni, — ani stope, — ani tyle, co czorno za paznogcem. — Niech sę stanie wolo Bosko! —

Przytem mu przyszła myśl, że przecież w takiej ciężkiej sprawie, do której się zabiera, potrzeba, aby się pomodlił, jak to czynił przed każdą pracą. Postawił więc fuzyę w kąt, przeżegnał się i obrócił oczy na obraz Ukrzyżowanego, który wisiał na ścianie. I modlił się:

— Ojcze nasz... —

Ale już przy pierwszych słowach odezwał mu się w sercu jakiś lęk, który się potęgował i zaczął przenikać jego całe jestestwo, aż go całkiem ogarnął.

— I nie wodź nas na pokuszenie...

Wnuk skończył swoje Ojcze nasz i patrzał w obraz Zbawiciela. Ale dusza harda w nim się buntowała:

— Jak możesz chcec, Boże, ażebem krzywdę moję puszczeł bezkarnie? Cuż rzekną ojcowie moi, co pod Wiedniem miesądz turecci przepięłe na swuj herb, że jo zemni swoji nie bronieł do ostatnyj kropli krwi! — Zdrzyj, jak jo opuszczony! Żona w grobie, i dzecko mnie zabrołes, a drudzi, co żyje, chdzes w swiecie dale-

cim i nie przebieży bronic starygo ojca! — Cuż mnie ostanie, jak padnąc jak rycerz prawy na miedze zemni mojij? —

Lecz twarz Chrystusa patrzała nań surowo. I odezwał się w nim głos inny:

— A cze tobie dany miecz sprawiedliwosce, żebes go używoł podług rozumu swygo? Jaci mosz prawo, Wunku, zabijac ludzy, chterny nawet nie są winny twoij krzywdze. A jakże odpowiesz ojcom swoim, chterny Turków bile, ciej sę spytają, jakżes bronieł swyj zemni? Odpowiesz tede: Prawowołem sę dłudzi lata, a kureszce zabiełem tych, kternych wesłele, żebe cuzy kopce na moij zemni sepale — ludzy niewinnych. Bocz, Wunku, żebes w jankorce nie przeholowoł. —

Długo klęczał tak stary Wunk i walka sroga wstrząsała jego duszą. Ale jakkolwiek ciężką ona była, nie złamała go aż do cichej rezygnacyi. Myśl, żeby odstąpić kawał ziemi swej, który uważał za swoją własność niezaprzeczoną, zrodzić się nie mogła w głowie tego potomka oswobodzicieli Wiednia, tak była przeciwną ona jego wprost rzymskiemu poczuciu prawa.

Wstawszy z klęczek, już nie imał się strzelby, ale wzniosły ręce nad głową, zawołał:

— To niech som Sprawiedlewy naju osądzy! —

Wiedział bowiem o jednym jeszcze ostatecznym, strasznym środku, na Kaszubach niekiedy używanym, którym się posługiwał pokrzywdzony wobec krzywdziciela. Poszedł więc do swojej roboty, puszczając mimo ucha zgiełki i nawoływania sypających swieże kopce. Kiedy zaś wieczór nadszedł, postawił stoł naprzeciw okna, z którego mógł patrzyć na rzekę i hen aż do siedziby swego nieprzyjaciela, gdzie ujrzeć mógł wid z jego okien świecący. Wydobył potem stary psałterz i zaczął w nim wertowac, aż nalazł, co chciał.

Siedział potem nieruchomy, patrząc w dalekie światło sąsiada. Księżyc weszedł powoli, i oblał jego twarz surową zimnym swym blaskiem, dając jej wyraz srogich rzymskich posągowych mask. Siedział, aż stary zegar, z wytartemi liczbami na ogromnym cyferblacie, zardzewiałym głosem jął bić dwunastą. Teraz wstąpił weń ruch. Wdział wysokie buty rybackie, wydobył wielki nóż, zasadził kapuzę na głowę i wyszedł, zdążając ku rzece, która jak ołowiana wstega ciągnęła się wśrod krzewi i brzóz. Niedługo doszedł do wązkiej ławy, która się pod jego potężną stopą gięła, aż stanął na łące, która od dzisiaj przestała być jego własnością. Teraz ukląkł na ziemi i okroił nożem taki kawał darniny, na którym by dwie

stopy ludzkie ustać mogły i wyrwał go. Potem przycisnał ziemię do piersi, wstał i dążył tą samą drogą do domu. Stanąwszy w izbie, położył bryłę ziemi na stole, umocował na niej gromnicę, zapalił ją, oparł psałterz o bryłę, i zaczął śpiewać straszny psalm Dawidowy trzydziestysiódmy w języku Mistrza z Czarnegolasu:

— Obrońca wieczny ludzi utrapionych,
Do Ciebie w swoich krzywdach niezliczonych
Ja się uciekam.
Zastaw się o mnie: daj odpór gwałtowi,
Porwi broń i tarcz: pomoż człowiekowi
Uciśnionemu!

Cisza była w izbie, kiedy ustawiał Wnuk gromnice na bryle swej ziemi, cicho stało na podłodze światło księżyca, który wysoko z gwieździstego nieba patrzał jakby przerażonem okiem na dziwne zachowanie się starca. Tylko zegar stary uderzał długim wachadłem: raz dwa — raz dwa! — zimno i nieubłaganie licząc sekundy, uciekające w wieczność nieskończoną. Kiedy ale starzec, pochyliwszy siwą głowę nad psałterzem, gromkim głosem zaczął śpiewać pieśń krzywdy krwawej i niedoli, stał się jakoby szept i ruch w izbie, a stare ściany domu, w którym pokolenia Wnuków urodziły się i podrosły, zaczęły ostatniemu z nich wtórzyć:

— — Pomóż człowiekowi
Uciśnionemu! —

Powoli smugi białe światła księżycowego zaczęły się skrócać i cofać przez okno, jakby w trwodze. Starzec został sam przy świetle gromnicy i śpiewał dalej:

— Zastąp, dobywszy ostrej szabli swojej,
Mym prześladowcom; rzeczże duszy mojej,
Jam zdrowie twoje. — —

I śpiewał Wnuk, dopóty światło wschodzącego słońca nie zwiastowało dnia.

Teraz dopiero legł do krótkiego snu, ale już za godzinę obchodził gospodarstwo. Strawy nie wziął do ust, aż dopiero na obiad, bo postanowił pościć surowo. I wieczerzy nie ruszył. A kiedy słońce zaszło i mgła wieczorna z łąk się jęła dzwigać w dziwnych kształtach, zapalił jak wczoraj gromnicę i zasiadł nad psałterzem, śpiewając dalej pieśń krzywdy i zemsty:

— Niechaj wstyd najdą, którzy mnie szukają,
Niechaj sromotnie nazad uciekają,

Co mi źle myślą.
Jako gwałtowny wicher niezgoniony
Proch po powietrzu niesie: tak i ony
Anioł niech pędzi. —

I znowu ściany wtorowały pieśni starca, a on — w przerwach patrząc w dalekie światełko w domu swego krzywdziciela, — śpiewał aż do rana.

Stara gospodyni, z razu zdziwiona jego zachowaniem się, wnet poznała, co się święci, znając ten ostateczny środek, jakiego ukrzywdzony używa. Nie odezwała się więc słowem, sama zresztą bolejąc nad krzywdą Wnuka. On zaś nie dosypiał, pościł, nie mył ani golił twarzy, tak że nareszcie z surowego na wejrzeniu stał się wprost strasznym. Krótki, siwy, twardy jak szczeć, zarost okolił mu usta, oczy uciekły w głąb jam, tylko nos potężny sterczał naprzód, dając mu wyraz zwiastuna śmierci — puszczyka.

On zaś śpiewał.

Kto chciał, mógł co noc widzieć światło gromnicy w oknie i pochylonego nad psałterzem starca, śpiewającego żale poety i wygnańca królewskiego:

— Panie, kto Tobie rówien? Ty ubogich
Trapić mocniejszym niedasz, ty z rąk srogich
Nędzne wyrywasz. —

I szła ta pieśń z chaty Wnuka w milczącą noc. Unosiła się nad rzeką i dążyła ku drobnemu światłu, które się tliło w oknie Kłopotkowym. I zapukała do okna, i przeszła i zapukała do sumienia szczęśliwego zwycięzcy.

I zląkł się Kłopotk.

Już i w sąsiedniej wsi ludzie gruchali, że Wnuk „śpiewa“ na swego nieprzyjaciela. Opowiadano sobie, jak to gdzieś w podobnym wypadku okrzywdzony zaśpiewał krzywdziciela na śmierć. — Tu zaś krzywda była jawna. Więc i Kłopotkowi odezwało się sumienie, niepokojąc go coraz bardziej.

Minął jeden tydzień.

Kłopotk, kiedy raz wyszedł przed dom, widział w dali światło w oknie Wnuka i zdawało mu się, że nawet widzi starca, zwołującego przy świetle gromnicy zemstę Bożą na jego głowę. Zawrócił się szybko i legł do snu, leez długo nie mógł usnąć, tak go trapiły różne natrętne myśli.

Niechciał więcej patrzyć na światło w oknie Wnuka, lecz nie

dało mu spokoju. Kiedy się wszystko pokładło, wstał i wyszedł przed dom i patrzał — patrzał, aż go trwoga zdjęła, i wszedł żegnając się do izby, aby się położyć do niespokojnego snu. ...

Pewnej nocy, kiedy znów stał i patrzał w dalekie światełko za rzeką, porwała go raptem niepohamowana chęć, podejść pod okno Wnuka i zobaczyć i słyszeć, co się tam dzieje. Darmo się opierał, jakaś siła przemożna jęła go przeć naprzód — i szedł wprost na światło. Szedł po śmierć.

Nie baczył na to, że chcąc przejść suchą nogą przez rzekę, trzeba mu było zboczyć o kilkadziesiąt kroków w stronę i przejść przez ławy, ale szedł prosto z oczyma wlepionemi w światełko, jakoby wątłe promienie tegoż posiadały jakąś straszną moc przyciągającą. Doszedłszy do rzeki poszedł w bród, zanurzając się miejscami po sam pas, aż przeszedł. Na drugim brzegu znowu szedł wprost na światło, aż, nienapastowany dziwnym sposobem przez psów, podszedł pod same okno. Tam się przyczaił i słuchał:

— Widzisz, o Panie, jawną krzywdę moję,
Nieracz jej milczeć: okaż bytność swoję
Przy mnie, swym słudze.
Wstań a rozciągnij sąd swój sprawiedliwy
A uznaj, kto z nas praw jest, a kto krzywy,
Mój wieczny Boże! —

Gromkim głosem śpiewał straszny starzec swoją pieśń w cichą noc, każde słowo wyraźnie i dobitnie wymawiając. A każde, jak młotem, uderzyło w sumienie Kłopotka. Obejrzał się i widział światło swej zagrody gdzieś daleko i dziwił się, po co tu przyszedł pod okno podsłuchiwać skargi na siebie. Noc była jasna, księżycowa. Dołem płynęła rzeka, ta zdradliwa rzeka, winna całej sprawie, z chichotem fal, jakby się śmiała z śmiesznych zabiegów sąsiadów.

I raptem wstrząsł Kłopotkiem taki strach, że wziął pęd ku rzece, i przebrnął przez wodę i biegiem dążył do swej zagrody, goniony przez nieubłaganą nutę:

— Osądź mnie podług swej sprawiedliwości,
A nie daj, Panie, przeklętej zazdrości
Pociechy ze mnie...
— Bodajże jawnej nie uszli sromoty,
Którym nieszczęście i moje kłopoty
Dobrą myśl czynią.

Bodaj zelżywość, i wieczną odnieśli
Hańbę na sobie, którzy się podnieśli
Hardzie przeciw mnie. — — . . .

Za kilka dni doszła wieść do zagrody Wnuka, że jego wróg ciężko chory. On się zaś wiele nie zdziwił, tylko pokiwał głową:

— Wolo Bosko! —

I śpiewał dalej.

Minęły dwa tygodnie. Wnuk się stał jeszcze bardziej do puszczyka podobnym, przygarbił się, zestarzał, ale pościł i śpiewał.

Pewnego dnia przyszedł organista.

Zdziwił się mocno nędznemu wyglądowi Wnuka i bez wstępu zaczął:

— Bujce sę Boga, Wnuku, co we robice? —

Wnuk milczał.

— Kłopotk zachorzoł na smnierc. Wczora beł ksądz u nicgo z Przenojświętszym Sakramantem! —

Najmniejsze wzruszenie nie przeszło twarzy Wnuka.

— A to przez wasze spiewanie! —

Teraz dopiero odezwał się Wnuk:

— Bóg sądzy! —

— Ejże, Wnuku, nie żartujce z sądem Bościm, bo i wom patrzy smierc z oczu. —

— Niech sę stanie wolo Bosko! —

Organista znał twardą naturę ludzi w rodzaju Wnuka, więc zaczął swoją właściwą misyę:

— Przesłoł mnie tu Kłopotk. Po przesposobieniu sę na smnierc zwołoł żonę i dzece i zrobieł testamańt. Oddaje wom łąkę i prosy waju, bezce mu weboczyle. —

Słaby odbłysk tryumfu zaświecił w zapadłych oczach Wnuka, lecz zresztą żadnego na nim wzruszenia widać nie było. Pokiwał głową tylko, jakby chciał mówić:

— Wiedzoł jo, że tak będze! —

Organista ciągnął dalej:

— Wnuku, i wom będze stanąc przed sądem Bożym i rachunk złożec. Dlo tego w Kłopotkowym i swojim jimnieniu waju proszę, besce ze mną zaru poszli i Kłopotkowi dele rękę na zgodę. —

Wnuk ciężko usiadł na ławie przy piecu. Widział organista, że ciężką stacza w duszy walkę, i milczał. Długa minęła chwila,

podczas której tylko uderzenia wahadła zegarowego na ścianie odzywały się w ciszy ponurej. Nareszcie przemówił Wnuk:

— Niech mu Bóg weboczy, jak jo mu weboczom, ciej wróceł mnie, co moje! —

— To obujce sę i chadejce ze mną. On nimoże skonac, nim mu ręci nie podoce! —

Lecz Wnuk twardo odparł:

— Nie pudę! —

Organista nie próbował dalszej perswazyi, wiedząc, że próżne by były słowa. Rzekł tylko:

— A więc weboczoce mu waju krzywdę? —

Wnuk kiwnął na znak zgody.

Organista pożegnał się i poszedł.

Wnuk zaś po chwili zabrał się, umył, ogolił, ubrał i poszedł w pole. Poszedł wdłuż rzeki, spojrzał na świeże kopce, na których ziemia już zszarzała, i szepnął:

— Obroniełem swoje! —

Szedł dalej, wzdłuż rzeki, zatrzymując się niekiedy przy grupach brzozin, wiązów i osin, jakie miejscami okalały grząskie brzegi rzeki Wdy. Potem zawrócił idąc około pól, spojrzał na poorane rżyska, na ugory, torfiska. Przeszedł kawał boru, w którym smukłe sosny, proste jak świece, sterczały w górę i przystanął, ażeby przysłuchać się ich szumowi. Obszedłszy tak całą swoją ziemię, i widząc, że nic z niej nie uronił, poszedł do obory. Wstąpił do każdej chowy, do świń, owiec, cieląt. Nareszcie poszedł do koni. Miał ich czworo i zawsze kładł w tem dumę swoją, ażeby były doborowe, żywe i lśniące. Poklepał dłonią po karku parę brunatnych, które zwykł był zaprzęgać do wasąga, i rzekł:

— Zrejta, konici, zrejta. Wnet swygo pana zawiezeta, skąd nima drodzi dodom. —

Tak obszedłszy, jak na pożegnanie, gospodarstwo całe, poszedł, położył się do łóżka i zażądał księdza. I już więcej nie wstał.

Legł jak ścięty dąb, nieruchomo, tylko oczy szkliste zdradzały wewnętrzną gorączkę, która go powoli trawiła. Raz, kiedy się nad ranem zbudził przytomniejszy, ujrzał na izbie swego syna, z żoną-chłopianką. Patrzał na nich chwilę przytomnym okiem, potem rzekł:

— Jozefku, jes te to? —

Syn z płaczem przypadł do łóżka i zaczął całować dłoń rodzica.

Ozwał się stary:

— A to twoja żona? — Czymu ona nie przyńdze do mnie? — Kobieta klękła przy łożu starca, łkając głośno. Stary Wnuk spojrzał na swoich dziedziców i twarz jego przybrała jakiś wyraz rzewny, jaki bodaj nigdy przedtem nie zajaśniał na jego twarzy. Drżącą rękę kładł to na głowę syna, to na synowej i wyrzekł z trudem:

Syn po ojcu, — Tak sę noleży. A broń zemni swojij jaż do smierce — jaż do smnierce! —

I skonał.

Na cmentarzu wiejskim spoczywają obaj przeciwnicy niedaleko siebie. Te same kwiaty i trawy rosną na obu grobach, ta sama wiosna budzi na nich zieleń. Ale lud okoliczny opowiada sobie wieść o strasznej sile psalmu królewskiego wygnańca.

Horatius cassubiticus.

Mecenas atavis . . . .

(Carminum lib. I. 1)

Mecenie, z królów pochodzący reju,
Ozdobo moja i muj dobrodzeju!
Są, chterny lubią w mijowce kurzawą
Walac sę wozem w jigrzeskach, — a sławą

Za ominiony cepłą osą mole
Bogom się rownią, choc są zemni krole.
Jinszymu dobrze, ciej baranią strzodą
Kwiryce drzą sę, miec go wojewodą. —

Nymu, ciej w włosnych nasepoł sklepiskach,
Co chdzes zdzerają na Libijscich rzyskach.
Tego, co tłucze moteką zogone
Po ojcu, tego Attala mamone

Nie ruczą z mniescu, be na balkach z Cyper
Myrtowsci morzy w strachu rznoł, jak szyper.
Ciej zos Jikarsci morzy burzy wiater
Z Afreci, tej kupc chwali mieścich kwater

Mir i grunt cwiardy; — ale wnetk on chwatci,
Nędze sę bojąc, reperuje statci.
A nen znow lubi z storym winem w zbonku
Ukradac kawał słonecznygo dzonku,

Legając sobie pod zelonym zwojem
Harbuta, abo chdze nad mniełym zdrojem. —
Niejedny lubią wrzosk trąbe i roga
W obozu wojska, i wojne, — na trwogę

Biednych matk. — A strzelc we mrozowy noce,
Choc sę mu doma białka nakłopoce,
Piluje w polu, bo pse łanię może
Zwąchale, abo dzek sę zerwoł w borze.

Mnie wińce, skarni spiewoków nogrode,
Wesocim bogom zbliżają, — od strzode
Ludzcij mnie dzeli goj, kędę na darnie
Tancują nimfe z satyrami w karnie,

Ciej fletem zagro Euterpa, a w strone
Polihymnija uderzy, jak w zwone.
Ciej zos w spiewoków mdę liczon przez cebie.
Głową urosnę po gwiozde na niebie.

Nunc est bibendum . . . .
(Carm. Lib. I. 37)

Tero le pijta, tero zbetną nogą
Trampnijta zemnię, tero ucztą srogą
Salijską stołe Boży strujta wiele,
Bo pora tymu, mili przejocele!

Grzechem be pierwij beło toczec beczci
Ze sklepu ojców, ciej krolowo w seczci
Wewrocec chcała kapitol nasz lity
I pogrzeb sprawic Rzeczepospolityj,

W gromadze z karnem przegrzeszonym ludzy,
Choroba chternych obrzedzeni budzy,
Pijano szczescem złotym, choc tam jeji
Po prowdze żodnyj niebeło nodzei.

Ale jij gorze odziń zmytygowoł,
Co jeden okręt jedyny zachowoł.
A duszę spitą na egipscim winie
W srodzi strach wpędzoł, ciej od Ital płynie,

Goniący Cezar, (— Jakbe jastrzyb z wyży
Gołąbci gonieł, abo i strzelc chyży
Po Tessalii smniegach gonieł zajci —)
Be w lińcuche wząc ukoskę od białci.

Niechcała ona umrzec prostą radą
I przed mnieczami nie zmykała blado,
Jak białci czenią, — ani też na brzedzi
Ukrety pędzec chcała statków redzi.

Mniała bo ducha, wzerac beze żolu,
Chdze gruze bełe na jij zomku molu,
I brzedci żmije chwytac, be jij żełe
Trucezną czorną w bioły cało piełe.

Przeze smierc swoją dzekszo ona nama.
Znadz zodrosceła, be pojmano sama,
Wiedzono beła przez morsci rebieta, —
Bo wieldzij dusze beła ta kobieta.

Ehen fugaces . . . .
(Carm. Lib. I. 37)

Oj biegą, biegą, Postumie ce lotka!
Chocbes beł nobożny jako dewotka,
Nie uprosysz te gładci twarze więcyj,
A smnierc cę skręcy;

Chocbes i trzesta wołów codzyń smarzeł
I nimi złymu Plutonowi plażeł,
Co nomocniejszych w swoje piekło zwleko,
Za smutną rzeką.

Bo wszesce me tam pojadzeme w spole,
Co chleb zjodome ludzci na padole,
Cze króle z złotą koruną na głowie,
Cze le chłopowie.

Darmo me z wojne unikome smierce,
I burze, okręt tłuczącyj na czwierce, —
(Ciej skrywome sę do pewnygo portu,) —
I wiatru z nortu.

Nom uzdrzec będze corci Danausa
Prze krętych brzegach rzeci Kocytusa,
I przeklętygo Zyzyfa w tyj noce
W doremnyj proce.

I zemnię puscysz, — budynk, — białkę swoją,
A ze drzewk wszetcich, co w twym sadze stoją,
Żodno za tobą, jak przestoi słudze, —
Le cyprys pudze.

I winem twoim, co na tesąc kluczy
Zamkły, po tobie posesor sę tuczy,
I go, choc księży godny bodej że je,
Po zemni leje.

Miserarum est . . . .
(Carm. Lib. III. 12)

Biedny one, co nie znają, co kochani, ani słodci
Wino na serduszka bole
Welewac nie lubią wcole,
Bo je straszy ozór cotci.

Tobie koszyk, Neobulo, skrzydlasty wzął syn Cytare,
Tobie chęce do kądzeli
Do robote prze posceli
Zabroł Hebrus twuj z Lipare.

Ciej on kąpie chrzebt swiecący, w Tyberowyj płenąc wodze,
Ciej on jezdzy koniem dzeko
Abo chyżą nogą neko,
Abo pięscą walczy srodze.

Ochotny on strzelac łanie, chterne trwoga w pole niese,
W karnie strachem popędzony,
Abo jako strzelc uczony
Umnie dobie dzeka w lese.

M.

Kronika żałobna.

Dnia 8. października rb. umarła we Lwowie Marya Konopnicka. Tygodnik ilustrowany drukuje na cześć jej wiersz następujący:

Ś. P.

Marya Konopnicka.

Uderz dzwonie, starej fary, grzmij w ulice grodu,
Nad Warszawą się rozkołysz, jak serce narodu!
Jak na krwawy zgon hetmański, graj spiżowem słowem,
Zygmuntowi głos podawaj, co łka nad Krakowem.

Poleciały dwięki chmurne, na pola, na łany,
Na karpackie wichry górne, stepowe, kurhany,
U Wileńskiej katedralnej biją Świętej Anny
Rozbudziły stare echa gdańskiej Maryi Panny!

Ta, co była ziemi polskiej w niebo grzmiącym dzwonem!
Ta, co była polnym kwiatem nad polskim zagonem!
Ta, co była jasną gwiazdą na tem polskiem niebie —
Ziemio nasza, ziemio polska, pożegnała ciebie!

Sprawozdania i krytyki.

a) Bibliografia Kaszubska.

Nowe prądy na Kaszubach. Pod tym tytułem pisze Janowicz w „Prądzie“ warszawskim (Rok II, nr. 6.) o ruchu młodokaszubskim krótką rozprawę. Dając zwięzły pogląd na rozwój ruchu umysłowego na Kaszubach od czasów Cejnowy do chwili dzisiejszej, przytacza ciekawy pogląd pisma niemieckiego „Die Grenzboten“ na naszą sprawę. (Grenzboten, nr. 37, r. 1908).

I korespondent Grenzboten podług Janowicza zdradza skłonność uzurpowania nazwy Kaszuba jak po jakim nieboszczyku dla niemców, mieszkających na Kaszubach. Co do tej zaborczości, to już we wstępnym artykule niniejszego numeru pisaliśmy o niej. Wskazujemy na to, że trzeba koniecznie czekać do chwili śmierci naszej, nim będzie się można naszą suknią podzielić. Ta zaś chwila tak szybko bodaj niecierpliwym spadkobiercom nie nadejdzie, o tem świadczą najlepiej omawiane przez autora zgodnie z duchem Gryfa nowe prądy na Kaszubach.

OGŁOSZENIA.

Cena ogłoszeń.

Cała strona *28 mr.*, ½ strony *15 mr.*, ¼ strony *9 mr.* Wiersz petytowy łamany *30 fen.*

Przy częstszem ogłaszaniu odpowiedni rabat.

Ponieważ „Gryf“ rozpowszechniony wśród warstw inteligentnych i zamożnych, przeto ogłoszenia dla tych sfer przeznaczone obiecują skutek!

ROZMAITOŚCI.

Otrzymujemy następujące pismo: Wystawa robót kobiecych. Towarzystwo Przemysłowe w Toruniu postanowiło urządzić w pierwszych dniach grudnia r. b. wystawę robót kobiecych na sali hotelu Muzeum. Wystawa obejmować będzie wszystkie prace w zakres kobiecego zajęcia domowego wchodzące, mianowicie: krawiecczyznę damską i bieliznę, wszelkie robótki i produkty gospodarstwa domowego, jak ciasta, cukry, soki, konfitury i t. p. wyroby artystyczne, obrazy, rzeźby, kanwy, hafty, ornaty, wypalania, książki do gospodarstwa kobiecego, lalki i w. innych.

Rzucając myśl wystawy, wychodziło Towarzystwa z założenia, aby ożywić cokolwiek jednostajność życia towarzyskiego w Toruniu, a także dać sposobność popisania się przed szerszą publicznością licznym talentom domowym, pozostającym w ukryciu. Do wystawy dopuszczone będą nie tylko Prusy Zachodnie i Wschodnie, ale także W. Ks. Poznańskie.

Zgłoszenia przyjmuje i wszelkich informacyi udziela prezes Tow. Przemysłowego w Toruniu K. Rosochowicz, Bachestr. 9. Uprasza się o jak najwcześniejsze zgłoszenia, aby komitet mógł urządzić się z rozmieszczeniem okazów wystawowych. Przesłane na wystawę przedmioty będą zabezpieczone od ognia i kradzieży i wystawczyniom zwrócone franko do domu.

Ze względu na to, że czysty dochód z wystawy przeznaczony jest na cel dobroczynny, prosi Towarzystwo wszystkie panie nasze o jak najgorliwsze poparcie przedsiębiorstwa. Przeznaczone na wystawę przedmioty muszą być w Toruniu najpóźniej do dnia 25. listopada r. b.

Zarząd Tow. Przemysłowego w Toruniu.
K. Rosochowicz, prezes. *Wł. Groblewski,* sekretarz.

Pisma peryodyczne, nadsyłane na wymianę.

„**Szkoła" organ polskiego towarzystwa pedagogicznego.** Miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania. Red. nacz. i odpowied. **Lud. Pierzchała,** Lwów.

Miesięcznik kościelny (Unitas). *Pismo duchowieństwa* archidyecezyi *gnieźnieńskiej* i *poznańskiej* wydaje **Ks. W. Hozakowski w Poznaniu.**

Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne, org. *Towarzystwa numizmatycznego,* Redaktor **Dr. Maryan Gumowski**, Kraków.

Świat słowiański, *miesięcznik pod redakcyą* **Dra. Feliksa Konecznego**, Kraków Podzamcze 14. Cena 10 kor. rocznie.

Przegląd Polski, miesięcznik. Kraków.

Głos Wielkopolanek, Tygodnik społeczno-narodowy dla kobiet wszystkich stanów. Poznań. Przedp. kw. 2 mk.

Praca, tygodnik polityczny i literacki, ilustr. Poznań. Kwart. 1,50 mk.

Przegląd kupiecki, org. zjedn. młodz. kupieckiej w Poznaniu. Pren. kwart. 1,00 mr.

Kupiec, org. związku kupiec. w Niemczech. Poznań. Pren. kwart. 1,50 mk.

Świat, pismo tyg. ilustr. Warszawa i Kraków. Pren. kwart. 2 rb., 6 kor.

Lud, kwartalnik etnograficzny. Lwów.

Książka, miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej Warszawa. (księg. E. Wendego i Ska.) Pren. roczna rb. 2.

Ruch chrześciańsko-społeczny, miesięcznik poświęcony sprawom społecznym i gospodarczym. Warszawa. ul. Nowogrodzka. Pren. kwart. 1,50 mk.

Ziarno, Warszawa. Red.: Nowy Świat 70. Pren. kw. rb. 1,25, w Niemczech 4 mk.

Jutrzenka, gazeta tygodniowa dla wszystkich. Wilno.

Prąd, miesięcznik społeczny i literacko-naukowy. Redakcya: Warszawa.

Iskra, mies. posw. sprawom wstrzem. i wychow. narod. Kraków. Przedp. r. 1 mk.

Poradnik językowy. Kraków. Przedp. r. 3 kor.

Ziemia. Tyg. krajoznaw. ilustr. Adres red.: Warszawa ul. Jerozolimska 59—1.

Zaranie Sląskie. Cieszyn. Ślązk austryacki.

Zjednoczenie. Org. zjedn. tow. kob. ośw. na rzeszę niem. Poznań. Pren. kwart. 75 fen.

Poradnik dla spółek. Poznań. Red. i nakł. ks. Patron Wawrzyniak.

Iskra, mies. pośw. sprawom wstrzem. i wychow. nar. Kraków (Pijarska 4.) Przedp. r. 1 mk.

Świt, pismo polskiej młodzieży abstynenckiej, org. związku Nadziei, wychodzi co miesiąc. Przedp. kwart. 65 f. Red.: Poznań ul. Fabryczna 35. b.

Przyjaciel młodzieży, mies. pośw. młodz. polsk. Przedp. r. 1.20 mk. Ostrów.

Widnokręgi, dwutyg. pośw. kulturze polskiej. Przedp. kwart. 2 kor. 50 gr. Lwów

Przegląd oświatowy, *Miesięcznik Towarzystwa Czyt. Lud. w Poznaniu* pośw. sprawom oświat. i kultur. Ab. r. 3 m. Red. Ks. A. Lisiecki Poznań ul. Bismarka 7.

Kronika Powszechna. Tyg. społ. lit. i nauk. Lwów. Przedp. r. 14 mk.

Zarzewie. Czasopismo dla młodz. Lwów. R. 5 kor.

Przemysłowiec. Tyg. org. związku tow. przem. Poznań. Kwart. 1 mk.

Journal Instructif et Amusant. Warszawa. Przedp. 2 rb.